

powet.net

Mieszkańcom ziem nadniemeńskich,
ich Przodkom i Potomkom,
rozrzuconym po świecie
oraz Sympatykom Kresów
bukiet wspomnień dedykuje
Autorka

Biblioteka „Ziemi Lidzkiej” nr 1

Irena Stasiewicz-Jasiukowa

Lidzianka

O Marii Stasiewiczowej
- mojej Mamie -
wspomnienia

Lida-Warszawa
2008

Opracowanie graficzne i fotografie: Aleksander Kołyszko
(Lida)

Kopie dokumentów i fotografie prywatne z Archiwum Do-
mowego Ireny Stasiewicz-Jasiukowej

Okładka: Dariusz Kozłowski (Warszawa)

Skład komputerowy: Michał Buława (Warszawa)

Spis treści

Słowo wstępne, które należy przeczytać.....7

Część pierwsza: Początki XX stulecia

1. Rodzinny dom przy ulicy Suwalskiej
pod numerem 12010
2. Pierwsza wojna światowa. Wyjazd do Rosji.
Powrót do Lidy13

Część druga: Między wojnami w II Rzeczypospolitej Polskiej

1. Studia uniwersyteckie.....17
2. Mołodeczno i Lida w okresie międzywojennym19
3. Dom rodzinny w Lidzie przy ulicy 11 Listopada 423

Część trzecia: Druga wojna światowa

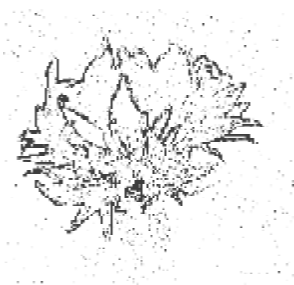
1. Okupacja sowiecka (1939 – 1941)32
 2. Okupacja niemiecka (1941 – 1944)34
 3. Znowu okupacja sowiecka (1944 – 1945)40
- Epilog45

SŁOWO WSTĘPNE,
które należy przeczytać!

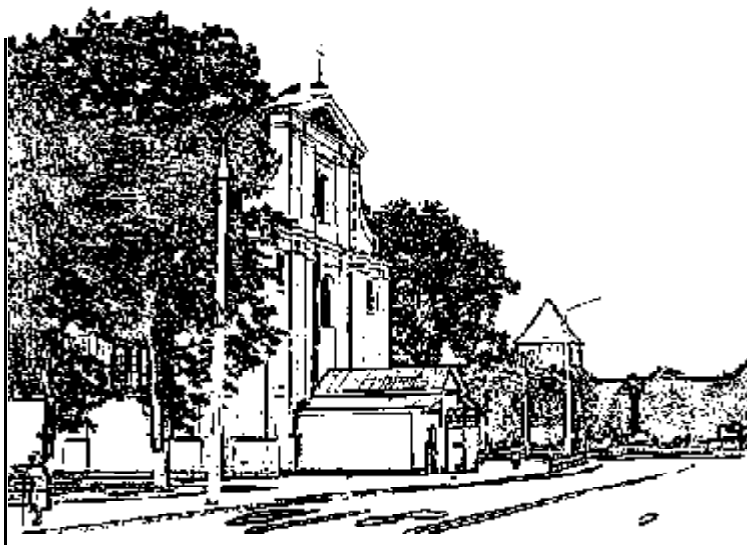


Wbrew zapowiedzi w tytule książki moja Mama nie jest wyłącznie jej centralną postacią. Równolegle tematem podstawowym opowieści są KRESY – miasta Lida, Mołodeczno i Wilno, gdzie rozgrywa się akcja, ale także rzeki Niemen, Dziwta i Lidziejka, piaszczyste sosnowe lasy, liczne brzozowe gaiki na pagórkach, szachownice pól – „posrebrzanych i pozłaczanych zbożem rozmaitym”. Przedmiotem opowieści są też kresy historyczne – umiejscowione w czasie XX stulecia, poczynając od jego początków – przed I wojną światową, poprzez okres międzywojenny II Rzeczypospolitej, kończąc zaś na II wojnie światowej. Kresy – to kilka pokoleń nadniemeńskich Polaków – rozrzuconych po całym świecie, lecz wolnych od złego uczucia „wypędzonych”, chociaż nie pozbawionych nostalgii.

Nie chciałabym, aby książka o kresach tamtych, minionych lat i o mojej Mamie pozostawiła tylko nostalgię i niezdolność do pokazania umiejętności twórczego życia. 100 lat kilku generacji Kresowian może być wzorem witalnych sił, niezależnych od miejsca i czasu. I to jest przesłanie mojej opowieści, adresowanej do wszystkich, którzy odziedziczyli kresowe korzenie bądź zaadaptowali je.



Część pierwsza:
POCZĄTKI XX STULECIA



Zacznę od paru zdań wyjaśnienia. Moja Mama – żona Witolda Stasiewicza – pochodziła również z domu Stasiewiczów; nazwiska były identyczne, lecz między tymi rodzinami nie istniało pokrewieństwo.

1. Rodzinny dom przy ulicy Suwalskiej pod numerem 120

Moja Mama była rodowitą Lidzianką. Urodziła się 21 listopada 1902 roku w Lidzie, gdzie w farnym kościele pod wezwaniem Podwyższenia Św. Krzyża została ochrzczona; w tymże kościele brała ślub. W Lidzie, w Państwowym Gimnazjum im. Karola Chodkiewicza, otrzymała świadectwo dojrzałości. Przykłady te można mnożyć; powracam jednak do początku systematycznej opowieści.

Ojciec mojej Mamy, mój Dziadek – a Jan Stasiewicz – świątły i zamożny – zmarł, niestety, w młodym wieku mimo usilnych starań lekarzy w klinice wileńskiej. Babcia – Paulina Stasiewiczowa – musiała zająć się samodzielnie utrzymaniem domu, gospodarstwa i wychowaniem siedmiorga dzieci: czterech synów – Zygmunta, Mikołaja, Wilhelma i Adolfa oraz trzech córek – Józefy, Zuzanny i Marii, to jest mojej Mamy. Moja Babcia okazała się osobą dzielną i zaradną, wywiązując się znakomicie z trudnej roli matki i gospodyni. Trzech Jej synów oraz córka – Maria otrzymali wyższe wykształcenie, co w ówczesnych lidzkich warunkach było ewenementem.

Jaki był dom Babci Pauliny, w którym moja Mama spędziła swoje dzieciństwo i młodość? Odtwarzam tę odległą, ale żywą dla mnie przeszłość z Jej opowieści, fotografii oraz z zakamarków pamięci mych najbardziej dziecinnych wspomnień.

Oto rodzinny dom Babci z ulicy Suwalskiej nr 120 – drewniany, parterowy, swojski, serdeczny. Do Babci należał także,

znajdujący się obok, piętrowy dom murowany pod numerem 118 – wynajmowany lokatorom. Wiem, że w okresie II Rzeczypospolitej mieszkały tam dwie siostry Drewnikowskie, panny Krystyna i Barbara z ich ciotką oraz na piętrze małżeństwo Marii i Jana Szczepaników. Ten dom murowany wydawał mi się, w mojej pamięci, chłodny i obcy – nie wiem dlaczego.

Powracam jednak do przerwane go wątku opowieści o rodzinnym domu drewnianym, gdzie mieszkała moja Mama. Do prostokątnego, bardzo długiego domu, wchodziło się po kilku schodkach na ganek, na którym stały wygodne ławki, zachęcające do odpoczynku na świeżym powietrzu, bez żadnego oszkle nia. Moja Mama opowiadała, że na Zielone Świątki stawiało się na ganku ścięte brzozy – przysypywane barwionymi w tak zwanym cebulaku łuskami potłuczonych jaj wielkanocnych, przechowywanych od Świąt Zmartwychwstania Pańskiego. Pory roku liturgicznego były w domu Babci Pauliny ściśle przestrze-



Świadectwo urodzenia Marii Stasiewicz z ksiąg parafialnych kościoła Podwyższenia Św. Krzyża w Lidzie, Diecezja Wileńska

gane; dodam, że utrzymuję tę odległą tradycję w moim warszawskim domu do dnia dzisiejszego.

Z ganku wchodziło się do przestronnej, zawsze chłodnej sieni. W pobliżu, po schodkach, można było zejść do piwnicy, zaś na wprost od drzwi, po kilku schodkach – do kuchni. Z prawej strony, po ominięciu wejścia do piwnicy, przy głównych drzwiach znajdował się mechaniczny dzwonek – oznajmiający wizytę gości, wprowadzanych do pięciopokojowego mieszkania. Wchodziło się najpierw do jadalni, następnie do salonu z pianinem; był też oddzielny pokój wuja Wilhelma – zwanego Wilusiem, pokój cioci Zuzanny – zwanej Ziną, i – oczywiście, w pobliżu kuchni pokój Babci Pauliny. Moja Mama opowiadała, że musiała przygotowywać wypełniane tytoniem tak zwane gilzy, gdyż Babcia paliła namiętnie duże ilości papierosów. Być może był to „lek” uspakajający system nerwowy – wynik nie najłatwiejszego życia. Moja Mama opowiadała również o wyczerpującym, wręcz niszczącym trybie życia Babci: wstawiała o godzinie 5 rano i szła na pole obejrzeć zbiory, czytała w nocy, przekraczając nierzadko północ; w ciągu dnia prowadziła codzienne zajęcia domowe, współpracowała z tak zwanym połowicznikiem – panem Bieńko – dzielącym plody rolne po połowie między nim – uprawiającym pole a jego właścicielem – to jest Pauliną Stasiewiczową. Moja Mama, aczkolwiek najmłodsza w rodzinie, pomagała ponoć w buchalterii i kucharce w kuchni. W ciągu dnia nikt nie miał chwili wolnego czasu – poza wieczorami, gdy Babcia siadała z gośćmi przy stole, grając w preferansa lub w lotto. Oczywiście – popijając herbatę ze stojącego nieopodal samowara. Moja Mama opowiadała, że pokój jadalny nie zmieniał swego wyglądu na przestrzeni wielu lat. Podobno, jak twierdziła Mama, nie było dużej różnicy między czasem I i II Wojny Światowej, a nawet ja go pamiętam z mojego najwcześniejszego dzieciństwa. Stał więc długi, kilkunast osobowy, owalny stół na środku pokoju, przy ścianie – stolik z samowarem i dużym, ozdobnym koszem – stale dopełnianym chrupiącymi, pachnącymi wanilią obwarzankami oraz z małym

koszyczkiem, zawierającym kawałki cukru „íf d’đęóńó” – jak w domu Babci mawiano. Część przeciwległej ściany zajmowała kanapa, używana najczęściej przez młodzież; do śpiewanych chętnie piosenek akompaniował na mandolinie krewny Babci Pauliny – znajdujący się na fotografii, przystojny młodzieniec – Marek Malewski lub Deręgowski – nie utrzymałam, niestety, w opowieści Mamy, zaś pamięć okazuje się krucha i wybiórcza. Na ścianie przy drzwiach wyjściowych wisiał piękny zegar, który dzwonił co godzinę i nigdy nie był wyłączany, mimo iż przeszkadzał w nocy. Nie można nie wspomnieć o brązowych, drewnianych okiennicach – zamykanych wieczorem szlabanem od wewnętrznej strony – należało to do obowiązków najmłodszej córki – Marii, nazywanej w domu Marysią lub Manią. Jej coroczną powinnością było też przysposobianie okien na zimę, wkładając między podwójne szyby kolorowe kwiaty nieśmiertelników. Zimą były otwierane jednie lufciki, z których czasem z zewnętrznej strony zwisały sople lodu. Troska o przydomowy, niewielki, kwiatowy ogródek z tulipanami, narcyzami, peoniami, ostróżkami oraz bzem, czeremchą i jaśminem – w zależności od pór roku – była powinnością Marii, podobnie jak utrzymanie schludności na ganku. Z drugiej strony dziedzińca znajdował się bardzo duży sad: rosły tu jabłonie, grusze i inne drzewa owocowe oraz krzewy czarnej, czerwonej i żółtej porzeczek, agrestu i malin. Przy podwórku, w tak zwanym świrnie, utrzymywano w chłodnej temperaturze znakomite wędliny, kasze oraz – na półkach – zapasy konfitur. Istny raj dla smakoszy! W końcu podwórka, w oddali, znajdowała się stodoła, kończąca gospodarskie budynki i za furtką zaczynało się pole, przylegające z lewej strony przez niewielki fragment polnej drogi do starego, żydowskiego cmentarza. Przez pole schodziło się w dół, na łąki, dochodząc do rzeki Lidziejki. Moja Mama opowiadała, że młodzież pływała łodzią po Lidziejce. Kiedyś, w odległych latach, Jej kolega niefortunnie wypadł z łodzi do dość głębokiej w tym miejscu rzeki. Wyciągnęła go z wody Maria, za co pozostał Jej wdzięczny przez wiele lat.

Na podstawie wspomnień mojej Mamy starałam się odtworzyć klimat i realia Jej rodzinnego, ludzkiego domu, sięgając myślą aż do początków XX stulecia.

2. Pierwsza wojna światowa Wyjazd do Rosji. Powrót do Lidy

W międzyczasie najstarszy Brat mojej Mamy, Zygmunt Stasiewicz, ukończył studia inżynierskie w renomowanym



*Świadectwo ukończenia klas czwartej, piątej, szóstej i siódmej
новомосковской женской гимназии wydane w związku
z powrotem do Lidy, listopad 1919 rok*

Институте путей и сообщения (Instytucie Dróg i Komunikacji) ze znakomitym dyplomem, tak zwanym złotym medalem, otrzymując stanowisko inżyniera na budowie odcinka kolei Гришино w Zagłębiu Donieckim, w latach 1915-1916. Właśnie wówczas zachęcił Wuj Zygmunt do przyjazdu rodzinę Stasiewiczów z Lidy do Zagłębia Donieckiego, chroniąc się przed niebezpieczeństwami I Wojny Światowej, obawiając się na Kresach Wschodnich okupacji niemieckiej. Wyjazd do Rosji okazał się, niestety, w pełni niefortunny: brakowało jedzenia, Brata Mamy – Mikołaja, wchodzącego w wiek poborowy, chciano powołać do wojska, przed czym ukrywał się. Jedynie moja Mama, licząca wówczas kilkanaście lat, która pracowała jako pomoc w jakiejś kancelarii, mogła otrzymywać obiad i kupować obiady dla jej całej rodziny, co ratowało przed głodem. Postanowiono wracać jak najrychlej do Lidy, co wobec zawirowań Rewolucji Październikowej nie było proste. Towarowym pociągiem, w okropnych warunkach, dotarła rodzina Stasiewiczów do celu, lecz nie bez ofiar. Najstarsza z sióstr – Józefa, podczas powrotu do Polski, na jakiejś kolejowej stacji, zatrąła się grzybami z tragicznym, śmiertelnym skutkiem; Wuj Mikołaj zginął w zawierusze wojennej.



Część druga:

MIĘDZY WOJNAMI

W II RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ



GIMNAZJUM PAŃSTWOWE

IMIENIA HETMAŃNA



KRÓLA CHODKIEWICZA

W LIDZIE

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Grasiewiczówna) Maria

wodzę *Rosa* dnia *22. listopada 1924*

wyrosła *wymowa, kultura, wyprawa, przydaje się do życia, samostojalność*
ogromna wstępną do klasy *szkolnej*

Gimnazjum państwowe pańskie im Hetmana Króla Chodkiewicza w Lidzie.

uczestnicząc jako *uczni* w *konkursach* konkursach i konkursach *konkursach*

W *styczniu* roku 1924 otrzymała dyplom dojrzałości przed Komisją Egzaminacyjną powołaną przez

Kuratorium Okręgu Szkolnego Białostockiego

Grasiewiczówna) Maria w *styczniu 1924*

v. nauki religijnej <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>	v. matematyki <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>
v. języka polskiego <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>	v. języka obcego <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>
v. języka łacini <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>	v. chemii <input checked="" type="checkbox"/>
v. języka francuskiego <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>	v. literatury <input checked="" type="checkbox"/>
v. języka niemieckiego <input checked="" type="checkbox"/>	v. historii przyrodniczej <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>
v. historii powszechnej <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>	v. geologii fizycznej <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>
v. geografii <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>	v. fizyki <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>
	v. rysunku <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>
	v. muzyki <i>dobro</i> <input checked="" type="checkbox"/>

Komisja Egzaminacyjna uznała, że *Grasiewiczówna) Maria*

jest przygotowana do celów wstępu do *szkół* i postanowiła wydać *dyplom* dojrzałości.

Lidz, dnia *12. listopada 1924*

20

Przewodnicząca Komisji Egzaminacyjnej — Delegat (Arbuzjan) Oryga Szczęsna

[Signature]

Przewodnicząca

[Signature]

Sekretarz Komisji Egzaminacyjnej — (Kawczyński) Józef

[Signatures]

Około 1919 roku, po odzyskaniu niepodległości Polski, zakończyła się w Lidzie rosyjska gehenna. Rodzina Stasiewiczów zaczęła wracać do normalnego biegu życia.

A nawet – jak to w życiu bywa – zdarzały się momenty anegdotyczne. Najprawdopodobniej w roku 1919, gdy wracała z zakupów na rynku, pracująca już u Babci Pauliny kucharka, zobaczyła dość nisko lecący zeppelin. Mama opowiadała, że wpadła do kuchni przerażona, wołając: „Pani, w żalaznej maszynie leci diabeł i zapowiada koniec świata...”

* * *

Maria Stasiewiczówna po otrzymaniu w Rosji w 1918 roku świadectwa szkolnego z siódmej klasy *новомосковской женской гимназии* uzyskała też w 1919 roku wykaz ukończenia klas V, VI i VII w tymże gimnazjum ze wszystkimi, bez wyjątku, ocenami bardzo dobrymi.

Po powrocie do Lidy Maria postanowiła ukończyć polskie Państwowe Gimnazjum im. Karola Chodkiewicza w Lidzie. Osiągnęła cel, otrzymując świadectwo dojrzałości 15 czerwca 1924 roku. Oceny wyłącznie bardzo dobre i dobre, ani jednej oceny dostatecznej! Był to niewątpliwy sukces, gdyż moja Mama podczas pobytu w Rosji uczęszczała przez kilka lat do rosyjskiego gimnazjum, pracując jednocześnie, a w najtrudniejszym okresie, ratując od głodu całą rodzinę.

Po otrzymaniu matury, w wieku 22 lat, postanowiła Maria Stasiewiczówna rozpocząć wyższe studia na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie – na filologii romańskiej.

1. Studia Uniwersyteckie

Ze studiów na wymarzonej romanistyce Uniwersytetu Stefana Batorego musiała Maria zrezygnować już po pierwszych

UNIwersytet Stefana Batorego w Wilnie

WYDZIAŁ matematyczny i przyrodniczy

L. 102.

DYPLOM MAGISTRA FILOZOFJI.

Pani Maria z Stasiewiczów Stasiewiczowa
urodzona dnia 21 listopada 1904 roku w Lidzie w woj. Litewskiej
odbyła przepisane studia w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie
na Wydziale Matematycznym i Przyrodniczym
w zakresie botaniki
i zdała następujące egzaminy:

- z matematyki dla przyrodników z wynikiem dostatecznym
 - z filozofii doświadczeniowej z wynikiem dobrym
 - z chemii z wynikiem bardzo dobrym
 - z zasad geologii z wynikiem dobrym
 - z głównych zasad nauk filozof. z wynikiem dobrym
 - z zasad zoologii z wynikiem dobrym
 - z botaniki z wynikiem bardzo dobrym
 - z anatomii i cytologii roślin z wynikiem bardzo dobrym
 - z fizjologii roślin z wynikiem bardzo dobrym
 - z geografii roślin z wynikiem
 - z flory polskiej z wynikiem bardzo dobrym
 - z morfologii i systematyki roślin z wynikiem dobrym
 - z mikrobiologii z wynikiem dobrym
 - z egzaminu statutowego z morfologii i systematyki roślin z wynikiem bardzo dobrym
- oraz przedstawiła z wynikiem bardzo dobrym pracę magisterską
na temat: *Ukwierdzenie mch ekubozja mącznicy amerykańskiej*
na egzaminie *Diplomarbeit* mars 1930/.

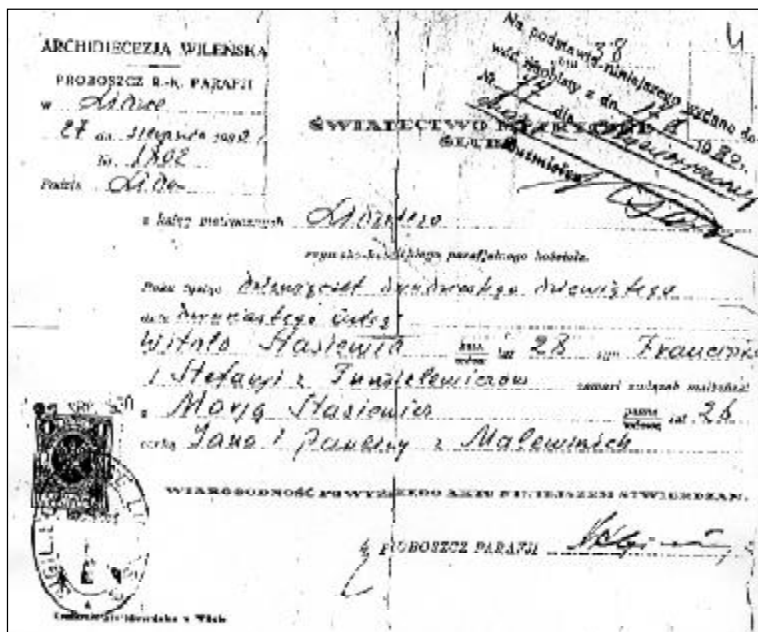
Dyplom magistra filozofii z zakresu botaniki Marii ze Stasiewiczów Stasiewiczowej na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, 15 grudnia 1930 roku

wykładach. Przekonała się bowiem, że poziom uniwersyteckiej filologii był zbyt wysoki w stosunku do umiejętności posługiwania się językiem francuskim, wyniesionej z gimnazjum w Lidzie. Potrzebne byłyby dodatkowe konwersacje prywatne, o czym wówczas nie mogło być mowy wobec trudności finansowych, wynikających z kosztów podjęcia w Wilnie wyższych studiów. Po naradzie z braćmi (jeden z nich studiował na agronomii, drugi na matematyce) Maria Stasiewiczówna została studentką Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego w zakresie botaniki na Uniwersytecie Stefana Batorego. Wybrała Zakład Botaniki Rolniczej pod kierunkiem prof. dra Józefa Trzebińskiego, pisząc pracę magisterską pod tytułem: „Observacje nad ekologią mącznicy amerykańskiej na agrestie” („Sphaerotheca mors uvae”). Temat był znakomicie dobrany, dostosowany do możliwości obserwacji rozwoju mącznicy na krzakach agrestu w ludzkim sadzie rodzinnego domu studentki. I znów wiodły drogi z Wilna do Lidy. Studia pod życzliwą opieką Profesora Trzebińskiego przebiegały bardzo dobrze. Materialne warunki w Wilnie nie były natomiast łatwe. Niejednokrotnie musiała Maria podejmować decyzję: czy zrezygnować z obiadu – czy zjeść w zamian ulubione przez nią mandarynki. Wynajmowała pokój na Antokolu – wspólnie z koleżanką Zofią Bojarczykówną, córką zamożnego prawnika z Lidy, która studiowała medycynę na Uniwersytecie Stefana Batorego, ukończyła ją i utrzymała kontakty z moją Mamą nawet po II wojnie światowej. Maria Stasiewiczówna, która w międzyczasie została już żoną Witolda – Stasiewiczową, uzyskała 15 grudnia 1930 roku dyplom magistra na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym w zakresie botaniki. Przed otrzymaniem dyplomu musiała zdać jednak nie tylko egzaminy z nauk przyrodniczych, lecz także z przedmiotów matematyczno-fizycznych oraz z „głównych zasad filozofii”. W sumie 14 egzaminów i praca magisterska – droga do dyplomu magistra filozofii na renomowanym uni-

wersytecie II Rzeczypospolitej nie była łatwa; ukończenie wyższych studiów wymagało rzetelnej wiedzy w zakresie specjalności i szerokich horyzontów myślowych.

2. Młodечно i Lida w okresie międzywojennym

Gdy dobiegały końca studia uniwersyteckie, 12 lutego 1929 r. odbył się w Lidzie ślub Marii Stasiewiczówny z Witoldem Stasiewiczem. Zaślubiny – jak już wspominałam – miały miejsce w parafialnym kościele Podwyższenia Św. Krzyża Archidiecezji Wileńskiej, a młodą parę związał stułą małżeńską dziekan – ksiądz Hipolit Bojaruniec, ogólnie znany i szanowany



Świadectwo ślubu Marii Stasiewiczówny i Witolda Stasiewicza w kościele parafialnym Podwyższenia Św. Krzyża w Lidzie, Archidiecezja Wileńska, ślubu dokonał 12 lutego 1929 roku ksiądz Hipolit Bojaruniec

na Ziemi Lidzkiej. Tuż po weselu Maria Stasiewiczowa wyjechała z mężem do Mołodeczna. Dr med. Witold Stasiewicz, po ukończeniu studiów medycznych na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, objął stanowisko lekarza powiatowego w tymże Mołodecznie, na rubieżach Rzeczypospolitej, tuż przy ówczesnej granicy ze Związkiem Radzieckim. Dr Witold Stasiewicz liczył zaledwie 27 lat, gdy obejmował funkcję trudną i odpowiedzialną na tym newralgicznym terenie. Na podjęciu decyzji zaważyła między innymi bliska odległość od Lidy, z ewentualną możliwością przyszłego awansu na stanowisko lekarza powiatowego w Lidzie – mieście stanowiącym ważny punkt komunikacyjny i wojskowy, gdzie stacjonowało kilka pułków.

Jak przedstawiało się Mołodeczno w opowieściach moich Rodziców, przebywających tam przez kilka lat, chyba gdzieś do roku 1934? Było to małe, kresowe miasteczko, zamieszkałe w znacznym stopniu przez ludność żydowską – właścители różnych sklepików, głównie spożywczych oraz zakładów rzemieślniczych. Polskiej inteligencji nie było za wiele: kilku lekarzy z miejscowego szpitala, grupa nauczycieli ze szkoły podstawowej i z gimnazjum, jeden czy dwóch adwokatów, jeden lub dwóch księży oraz urzędnicy pracujący w starostwie – oddalonym od miasteczka o parę kilometrów. Nie dowiedziałam się, gdzie mieszkał wtedy starosta z rodziną. Opowiadała mi natomiast moja Mama, że pod opieką starościny z tamtych lat przebywała przez pewien okres czasu, po śmierci pierwszej żony prezydenta Mościckiego, Michaliny – jego przyszła druga żona.

Moja Mama po przyjeździe do Mołodeczna wpadła w wir życia zawodowego i społecznego. W miasteczku brakowało polskiej inteligencji – nie mówiąc już o paniach z wyższym wykształceniem. Została więc natychmiast zatrudniona w gimnazjum jako nauczycielka botaniki. W Związku Obywatelskiej Pracy Kobiet wybrano ją na przewodniczącą. Z barwnych opo-

wieści mojej Mamy zachowałam w pamięci coroczną wizytę w starostwie, w dzień 1 stycznia, gdy jako Przewodnicząca Obywatelskiego Związku, w rannych godzinach Nowego Roku, musiała złożyć podpis w wyłożonej Księdze Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Przed dom przyjeżdżał szofer limuzyną starosty, by moja Mama, w długiej, czarnej sukni, udawała się spełnić obywatelski obowiązek.

Urządzenie się w Mołodecznie nie było łatwe – znalezienie czystego mieszkania na zadowalającym poziomie uchodziło niemal za cud. Rodzice znaleźli w końcu niewielki domek; z dwoma pokojami i kuchnią, w ogródku. Gabinet lekarski mojego Taty mieścił się w szpitalu. Ze wspomnień Mamy zapamiętałam, że nierzadko o północy stukał ktoś do okna, prosząc lekarza o nagłą pomoc. Czasem trzeba było jechać zimą saniami na wieś; a zimy na tamtych terenach były mroźne. Podczas tych nocnych podróży były niezbędne dwa kożuchy i tak zwana burka. Tata wracał nieraz nad ranem i musiał rozpoczynać normalny dzień pracy.

Jaka była wieś na tamtym, przygranicznym, wschodnim terenie? Zaniedbana i zacofana. Podczas leczenia jakiejś chorej kobiety w zapadłej wiosce, zetknął się mój Ojciec z przypadkiem tak zwanego „kołtuna”. Gdy zmuszono pacjentkę do ścięcia jej włosów, splecione w „kołtun” były tak wypełnione wszami, że przewędrowały z jednego krańca pokoju w drugi. Witold Stasiewicz napisał na ten temat rozprawę z fotografiami „kołtuna”. Mieszkańcy okolicznych wsi uważali się za „tamtejszych”; mówili tak zwanym językiem „prostym” – polsko-białoruskim.

Praca powiatowego lekarza w Mołodecznie była ciężka i wyczerpująca, ale po kilku latach rodzice kupili samochód; wyjeżdżając z szoferem (Tata nie nauczył się kierowania tym nowym nabytkiem techniki) w niedzielę nad jezioro, czasem w towarzystwie znajomych.

Skromny domek w Mołodecznie był bardzo gościnny i na-

der chętnie odwiedzany. Moja Mama „zdobyła” jakąś znakomitą pomoc domową – Kasię, gotującą wspaniale i znającą nawet kulinarne gusty gości odwiedzających Mołodeczno. Ze wspomnień Mamy zapamiętałam, że przyjeżdżał z Wilna lekarz, dawny kolega Rodziców z Uniwersytetu Stefana Batorego – dr Zuckerman, jak wskazuje nazwisko, żydowskiego pochodzenia. Szczególnie lubił on danie ze szpikiem kostnym; Kasia – wiedząc wcześniej o odwiedzinach gościa, przygotowywała dla niego ten kulinarny specjał.

Parę zdań o Kasi. Była sierotą, przebywała przez kilkanaście lat w jakimś kresowym, ziemiańskim dworze, pomagając w kuchni. Tam nauczyła się gotować i mówić pięknie po polsku. Przez kilka lat pracowała następnie u państwa rejentostwa w Mołodecznie, a kiedy zmieniali miejsce zamieszkania przyjęła ją moja Mama. Gdy rodzice przenieśli się do Lidy, Kasia postanowiła wyjść za mąż, gdyż miała już narzeczonego, kulturalnego, młodego rzemieślnika. Moja Mama pobłogosławiła sierotę – Kasię, wyprawiając ją do ślubu. Ofiarowała też, jak należało, paniński posag na nową drogę życia – oby szczęśliwą! Ponoć małżeństwo okazało się w pełni udane!

W mej pamięci utrwaliła Mama kilka nazwisk mołodeczańskich znajomych. Lekarka – Pani dr Paszkiewiczówna była chyba pediatrą. Przeżywała ciężko przez parę lat, że kilkuletniej dziewczynki – Wandzi, nie zdołała uratować. Zatrula się ona jakąś rośliną w potrawie zrobionej dla lalki, którą sama zjadła. Mama powtarzał później tę opowieść, którą zachowałam w mej pamięci do dnia dzisiejszego.

U Rodziców bywali Państwo Masłowscy – lekarz chirurg ze szpitala i jego charakterystyczna dla tamtych lat żona: po okolicach Mołodeczna jeździła na nartach, co budziło wówczas – na tym terenie – zdziwienie oraz malowała akwarele w terenie. Mama nie miała na to czasu; musiała podjąć opiekę nad rozpoczętą w Lidzie budową domu moich Rodziców, który powinien być wykończony do 1935 roku, gdyż obiecywano

wtedy memu Ojcu stanowisko lekarza powiatowego w rodzinnym mieście.

Zatrzymam się jeszcze na moment w Mołodecznie. Stacjonowały tam, w pobliżu sowieckiej granicy, jednostki wojskowe. Kilku oficerów, spragnionych kontaktów z polską inteligencją, odwiedzało dom Rodziców. Na zakończenie mołodeczańskich wspomnień Mamy przekażę jej określenie: „Był to teren kontrastów: z jednej strony zaniedbany, z drugiej świadczący o początkach rozwoju gospodarczego i społecznego; z jednej strony wygrzewały się leniwie na szosach żmije wypełzające z przydrożnych gęstwiny leśnych, z drugiej – przemykały obok samochody najnowszych modeli”. Ja z kolei zapamiętałam – nie wiem od kogo – że wiejscy chłopcy wsadzali do butelek te gady jakimś znanym im sposobem i zanosili do szpitala, gdzie zalewano je w tych butlach spirytusem. Chłopcy otrzymywali w zamian zapłatę pieniężną. Każda moneta była dla nich bardzo ważna. Ten świat ze wschodnich rubieży, w pierwszych latach II Rzeczypospolitej nie tylko przestał istnieć, lecz nawet ginie w zakamarkach pamięci nielicznych już osób. Warto przywołać przynajmniej fragmenty tamtej odległej rzeczywistości.

3. Dom rodzinny w Lidzie, przy ulicy 11 Listopada 4.

Po przykrych doświadczeniach w Mołodecznie, gdzie znalezienie chociaż w miarę odpowiedniego mieszkania graniczyło niemal z cudem, Rodzice postanowili wybudować dom własny, dostosowany do ich potrzeb. Poza prywatnym mieszkaniem należało mieć w tymże domu odizolowany gabinet lekarski z poczekalnią, obok garaż na samochód oraz ogród-sad. Mama miała zająć się zorganizowaniem budowy domu – od opieki nad pracami murarskimi poczynając, a na konstrukcji wnętrza kończąc.

Gdy w 1992 roku odwiedziłam po raz pierwszy po II wojnie światowej Lidę, a towarzyszył mi mój Mąż Jerzy Jasiuk – z zawodu inżynier budownictwa – stwierdził ze zdumieniem, że cegły w rodzinnym domu przy ulicy 11 listopada (obecnie 7 ří áď) utrzymały się w dotychczasowym kształcie, bez żadnych zniszczeń; a przecież minęło już od tamtych lat ponad półwiecze!

Opieka nad budową domu w Lidzie przez moją Mamę nie była dla niej łatwa, gdyż musiała, co pewien czas, dojeżdżać z Mołodeczna, wykładając wszak nadal w gimnazjum i zajmując się małym dzieckiem, które to właśnie – czyli ja – urodziłam się w międzyczasie. Sądzę, że jeździłam z Mamą do Lidy, mieszkając wtedy u Babci przy ulicy Suwalskiej. Nie pozostały, niestety, żadne wspomnienia związane z tymi wożażami na trasie Mołodeczno – Lida. Tata musiał pracować szczególnie intensywnie aby zapewnić finansowe środki na realizację jak najszybszego ukończenia ludzkiego domu. Nie wiem w którym roku dokładnie powstał, wiem natomiast, że w 1935 roku mieszkaliśmy już w Lidzie, Tata zajmował stanowisko lekarza powiatowego. W lidzkim gimnazjum pracowała Mama stosunkowo krótko; później urodził się brat – Janek i Mama musiała zająć się dwójką dzieci i domem.

Jak wyglądał ten wymarzony dom przy ulicy 11 Listopada? Dom leżał na niewielkim wzgórzu i był dwuczęściowy. Wchodziło się po kilku schodkach do dwojga frontowych drzwi – jedno prowadziły do prywatnego mieszkania, czteropokojowego z kuchnią i łazienką; drugie drzwi prowadziły, poprzez mały korytarzyk, do poczekalni lekarskiej, a następnie do gabinetu, gdzie Tata ordynował w godzinach popołudniowych, gdyż przed południem pracował jako lekarz powiatowy w starostwie. Faktycznie mój Tata pracował przez cały dzień z krótką przerwą na obiad i około godzinny odpoczynek.

Obok wejścia frontowego znajdowała się, w przeciwnej stronie domu, część kuchenna z wejściem od strony podwórka.

Wchodziło się tam po schodkach do długiego korytarza, z którego wiodły schody do kilkupokojowego mieszkania na górę, które wynajmowali lokatorzy. Z tegoż korytarza można było wyjść do ogrodu – królestwa mojej Mamy – znawczyni botaniki. Był on połączony z sadem. Rosły tam trzy krzaki róż – w każdym krzaku dwukolorowych, zaszczerpionych w ten sposób, że w jednym pęku były róże herbaciane i w kolorze ciemnoczerwonego wina, przechodzącego niemal w czerń. Było to wspaniałe dzieło mojej Mamy – stworzone przy pomocy miejscowego ogrodnika. Z innych kwiatów zapamiętałam zapach wieczornej maciejki i wielokolorowego groszku. Jako mała dziewczynka unikałam rosnącej przy płocie nasturcji – pięknej w kolorach, gdzie krążyły liczne dżdżownice, kosmate i odstrasające, których bałam się. Długi, wysoki, drewniany płot oddzielała od naszego ogrodu – sadu bardzo duża działka, przebiegająca wzdłuż całej ulicy 11 Listopada, która kończyła się przy ulicy Szkolnej. Właśnie do tej sąsiadującej działki należała piękna, nowoczesna szkoła podstawowa z eleganckim boiskiem sportowym. Do szkoły, do której uczęszczałam przez dwa lata, wchodziło się od ulicy Szkolnej.

Wracam jednak do ogrodu – sadu mojej Mamy – wszak Jej właśnie poświęcone jest wspomnienie. Sad powstawał dopiero, pierwsze drzewa zaowocowały w 1938 roku, pojawiły się na nich piękne, aromatyczne jabłka – papierówki oraz jesienne, czerwone oliwki. Były to wspaniałe owoce z mego najwcześniejszego dzieciństwa oraz świadectwo przyrodniczego kunsztu mojej Mamy. Były chyba i inne gatunki drzew owocowych, lecz zapamiętałam te tylko – ulubione.

Podczas pobytu w Lidzie w 1992 roku poprosiłam właściciela naszego dawnego domu o możliwość obejrzenia ogrodu – sadu z tamtych minionych lat – z ponad półwiecza. Drzewa oceniały cały teren, który tonął w mroku, a wraz z nim znikło moje wesołe dzieciństwo. Wnętrza mieszkania nie oglądałam: gospodarz domu nie zapraszał mnie, a ja nie chciałam porów-

nań z przeszłością, która wszak minęła bezpowrotnie. Zresztą nie lubię naruszania spokoju i intymności innego domowego życia.

A co zostało w otoczeniu naszego domu z międzywojennego okresu? Właściwie wszystko w znakomitym stanie, w idealnym porządku jak gdyby czas zatrzymał się w miejscu. Na podwórku garaż dla samochodu, który zapraszał do niedzielnego wyjazdu nad Niemen.; asfaltowany dojazd do garażu, gdzie graliśmy w piłkę lub w grę „w klasy” z wyrysowanym kredą „niebem” i „piekłem”. Tu odbywały się również zawody gry na skakance. Dodam, że w tej konkurencji byłam mistrzynią, a skakałam chętnie do lat pięćdziesięciu. W dzieciństwie ludzkim, podczas zawodów na skakance, wspomagała nas Mama, przynosząc na tacy kromki wspaniałego razowego chleba z równie wspaniałym, pachnącym masłem. Do dnia dzisiejszego wspominam ten razowiec.

W nienaruszonym stanie zachował się wysoki płot z pięknych, żelaznych, sztachet, oddzielający nasz dom od strony ulicy 11 Listopada. Między sztachetami kwitły róże i zachowały się do dnia dzisiejszego jako wspomnienie o mojej Mamie. Gdy w rozmowie z gospodarzem domu podczas następnej wizyty w Lidzie wyraziłam radość, że kwitnące przy płocie róże są tak piękne, usłyszałam słowa: „Это для себ’”. Moja replika była następująca: „Oczywiście, przecież do Lidy już nie powrócę, ale bardzo cieszę się, że w naszym dawnym rodzinnym domu jego nowi gospodarze mieszkają tak pięknie i pogodnie”.

Na podwórzu zabrakło jedynie psiej budy, w której rezydował pies Rex, który wychowywał się ze mną od najmłodszych lat, a został zastrzelony przez hitlerowca w czasie okupacji niemieckiej.

Za garażem i naszym podwórkiem, tuż w pobliżu naszego domu powstała w połowie lat trzydziestych XX wieku piękna, nowoczesna poczta przy ulicy Mickiewicza (równoległej do

ulicy Szkolnej) – zastępująca starą pocztę, znajdującą się przy ulicy Suwalskiej. Naprzeciw obecnego budynku poczty jest teraz park. Ongiś, za czasów moich Rodziców, znajdował się tam tak zwany „wygon”. Teren zajmowały po części kopce piasku, przygotowane zapewne jako materiał dla przyszłych budynków; na niższym, gładkim terenie było w zimie autentyczne lodowisko. Pamiętam, że zabrała mnie Mama na tę ślizgawkę – bez łyżew, lecz z ówczesnym krzykiem mody, to jest czapczkami – „pilotkami” na głowach, być może dla podkreślenia osiągnięć polskiego lotnictwa – przede wszystkim Żwirki i Wigury. Zapamiętałam nawet kolor tych „pilotek” – seledynowa u Mamy i różowa u mnie, obydwie z wełny angory. Musiało to być jakieś dziecinne przeżycie – nie wiem, z jakiej przyczyny.

Na rogu ulicy Falkowskiego, po przeciwnej stronie „wygonu” znajdowała się apteka w czasie niemieckiej okupacji. Moja Mama opowiadała, że Tata organizował w zakamarkach tej apteki tajne kursy dla techników dentystycznych – młodych chłopców działających w AK. Po II wojnie światowej, gdy mieszkaliśmy w Białymstoku, po depatriacji z Lidy, jeden z nich przysyłał memu Ojcu kwiaty na każde imieniny, gdyż zdobył w Lidzie zawód, ciesząc się znakomitą renomą technika dentystycznego na całej Białostocczyźnie. Niestety zapomniałam, jakie jest jego nazwisko.

* * *

Jakie przeżycia mojej Mamy z okresu międzywojennego zapamiętałam szczególnie? Gdy Rodzice byli na kolacji u Babci Pauliny z ulicy Suwalskiej, gosposia – podająca herbatę – jakoś potrąciła Mamie szklankę, wylewając wrzącą wodę na jej plecy. Oparzenie musiało być poważne, a Mama odwieziona natychmiast do szpitala pod opieką Taty. Ja zostałam przez kilka dni u Babci – pod opieką Cioci Ziny. Nie był to, na szczęście, najwyższy stopień oparzenia – zagoił się stosunkowo szybko,

a w niezbyt odległym terminie urodził się mój Brat – Janek.

Właśnie z powodu Janka martwili się Rodzice, że dość długo nie zaczął on chodzić. I otóż, niespodziewanie, pod wieczór letniego dnia Janek samodzielnie wyruszył, przechodząc bez żadnej pomocy około pół kilometra, docierając chodnikiem od domu do rogu ulicy Szkolnej. Było to radosne przeżycie mojej Mamy.

Codziennie życie, aż do II wojny światowej, toczyło się bardzo szybko i pogodnie. W okresie tych kilku lat były nawet różnego rodzaju atrakcje. Na przykład wyjazdy Rodziców na 4 marca – Kaziuka – do Wilna, gdy poza słynnym Kaziukowym Jarmarkiem spotykali się Rodzice ze znajomymi z Uniwersytetu Stefana Batorego na obiedzie w znanej restauracji tak zwanego „czerwonego” lub „zielonego” Strahla. Był to dla Taty dzień wolny od pracy, a ja, po powrocie z Wilna, otrzymywałam prezent – Kaziukowe serce z lukrowanym napisem „Kocham Cię” i z naszyjnikami ze smorgońskich obwarzanków – moim przysmakiem.

Wiem, że tylko jeden raz w całym międzywojennym okresie – nie zapamiętałam, w którym roku – wyjechali Rodzice ze mną na urlop do Druskiénik, lecz okazał się on jednak niefortunny. Przysłano telegram, że Dziadek z Morgów dostał obustronnego zapalenia płuc i Tata musiał natychmiast wracać do Lidy. W jego zastępstwie przyjechała Ciocia Zina, aby towarzyszyć mojej Mamie; w tamtych latach nie wypadało pozostawiać młodej kobiecie w uzdrowisku samej, tylko z małym dzieckiem. Zapamiętałam, że chodziłam z Mamą i Ciocią Ziną do pięknego, sosnowego lasu – na brzeg Niemna; po jego przeciwległym brzegu odpoczywał z książką Marszałek Józef Piłsudski; co prawda o kilka lat wcześniej – tylko do 1931 roku, ale związana z nim legenda wciąż była żywa. Zachowała się natomiast fotografia z tego nadniemeńskiego lasku – wspomnienie Mamy z jedyne go przed wojną urlopu w znanym uzdrowisku.

W letnie, słoneczne niedziele jeździliśmy – całą rodziną –

nad Niemen. Były to wspaniałe, niezapomniane wycieczki, gdy koń dorożkarza paśł się na sosnowym wzgórzu, a my kąpaliśmy się w przejrzystej wodzie Niemna, zaś Mama śpiewała zawsze modną wówczas piosenkę: „Ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal, gdy szumi, szumi woda i płynie sobie w dal...”. Pod wieczór wracaliśmy wypoczęci, przesiąknięci zapachem nadniemeńskiego powietrza i sosnowego lasu.

W inne niedzielne popołudnia odbywaliśmy długie, rodzinne spacerunki poza Lidę – na tak zwane „trzy ćwierci”, które były własnością Taty. Uprawiał je chyba jakiś „połowicznik”. Pamiętam, że odbywały się tu w sierpniu żniwa, na tym miniaturowym polu, a Tata czuł się gospodarzem tych „włości”. Gdy odbywaliśmy owe niedzielne, piesze wędrówki, mijaliśmy po drodze duży staw. Zapamiętałam, że kiedyś odbywał się w nim dość hałaśliwy koncert żab. Tata zażartował, zwracając się do paroletniego Brata, że śpiewają przepięknie słowiki. Janek potwierdził skwapliwie, wyrażając zachwyt nad urodą słowiczego śpiewu.

Bywały jednak i zupełnie inne atrakcje – bliższe przyjemnościom mojej Mamy niż kilkukilometrowe piesze wyprawy na „trzy ćwierci”, które – dodam – bardzo lubiłam. Raz w roku odbywały się wielkie bale różnych, stacjonujących w Lidzie garnizonów wojskowych. Mama zamawiała każdego roku w Wilnie nową kreację – nie mogły powtórzyć się dwukrotnie. Zjeżdżało się ziemiaństwo z okolicznych majątków, a i z innych miast: była to wielka gala! Mama cieszyła się na balach powodzeniem. Odznaczała się ponoć podobieństwem do znanej i lubianej aktorki tamtych czasów – Jadwigi Smosarskiej. A ponadto Mam była naturalna w sposobie bycia i potrafiła interesująco rozmawiać na różne tematy.

Na co dzień „ubierała się” Mama – jak wówczas mawiano – w magazynie Pani Bełdowskiej, która przysyłała do domu gotowe suknie i garsonki do obejrzenia i przymierzenia u siebie – przed lustrem. Nie pamiętam, aby Mama chodziła do

jakiejś krawcowej – kupowała chyba wszystkie gotowe ubiory, otrzymywane z Wilna, najbardziej modne. Zresztą w naszym domu nie zajmowały te sprawy zbyt wiele miejsca – przebiegały mimochodem.

Poza opieką nad dziećmi, pomagała Mama w sekretarskich obowiązkach mojego Taty, który musiał systematycznie dostarczać sprawozdania z wykonywanych przez niego sekcji zwłok. Mama pisała bardzo starannie i czytelnie, wiecznym piórem, te protokoły, pod dyktando jej Męża; nie stosowano wówczas pisania na maszynie. Załatwianiem wszelkich rozliczeń z lokatorami, którzy – jak już wspominałam – mieszkali na górze i wynajmowali, za gabinetem lekarskim dwa pokoje z kuchnią i łazienką, zajmowała się Mama. A ponadto kontaktami z urzędem skarbowym, prowadzeniem buchalterii Babci Paulinie, do której wszak należał duży dom murowany z lokatorami – Mama była niezwykle obowiązkowa i odpowiedzialna. Ponadto – podobnie jak w Mołodecznie – uczestniczyła w Obywatelskim Stowarzyszeniu Pracy Kobiet.

Czy był czas na czytanie książek? Nie wiem, aczkolwiek w biblioteczkę znajdowały się między innymi powieści i opowiadania Lwa Tołstoja, Czechowa i Gogoła, powieści Zofii Kossak-Szczuckiej, ale także Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Te zapamiętałam. Zachęcała mnie książka, znajdująca się w pięknej, czerwonej oprawie, pod tytułem „Sonata Kreutzerowska” i inne opowiadania – Lwa Tołstoja. Mama zniechęciła mnie jednak stwierdzeniem, że jest zbyt poważna i dla dzieci nudna. Gazety, czytane systematycznie przez Rodziców, były wyrzucane po ich lekturze.

W niedzielę chodziliśmy całą rodziną na mszę do kościoła Ojców Pijarów przy ulicy Suwalskiej. Po mszy szliśmy do cukierni „Amerykanka” na ciastka lub na lody – w zależności od pór roku. „Amerykanka” znajdowała się na rogu ulicy Suwalskiej i 3 Maja. Wchodziło się po kilku schodkach i siadaliśmy przy marmurowym stoliku. Pamiętam szczególnie wspaniałe

lody – czekoladowe, pistacjowe, orzechowe, truskawkowe czy wiśniowe. Z ciastek zaś „napoleonki” i rurki z kremem. Podczas odwiedzin w Lidzie w 1992 roku postanowiłam pokazać mojemu Mężowi cukiernię „Amerykankę”. Niestety – pozostało tylko przywołane przeze mnie wspomnienie.

* * *

W saloniku stało radio – wydaje mi się, że ze znanej, wileńskiej firmy „Elektrit”. Czy słuchaliśmy często audycji radiowych? Niestety, nie pamiętam. Zapamiętałam natomiast w najdrobniejszych szczegółach wypowiedź w radio, gdy 1 września 1939 roku podano rozpoczęcie II wojny światowej. Wczesnym rankiem siedzieli Rodzice w saloniku, przed aparatem radiowym, słuchając komunikatu najświeższych wiadomości. Po chwili Tata powiedział: „Rozpoczęła się wojna z Niemcami. Jakie będą jej losy – zobaczymy. Musicie być spokojni i opanowani. W starostwie dowiem się, jakie będą dalsze instrukcje”. Mama była, jak zawsze, opanowana na zewnątrz; co czuła w sercu, nie wiedziałam. W domu rozpoczął się zwykły, powszedni dzień. A jednocześnie zakończył się okres pogodnego dzieciństwa.



Kościół oo. Pijarów w Lidzie, stan obecny, foto A. Kolyszko

Część trzecia:

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA



1. Okupacja sowiecka (1939 – 1941)

We wrześniu 1939 roku – po zawarciu porozumienia niemiecko-rosyjskiego – wkroczyło do Lidy wojsko radzieckie. Wyszłam z Mamą i Tatą na ulicę Szkolną, skąd szedł ze śpiewem duży oddział żołnierzy. Pamiętam, że miałam na głowie piękny, czerwony beret, a mój Tata zażartował, że dla uczczenia wchodzących do Polski Sowietów. Mama zareagowała ze smutkiem, iż nie jest to właściwy moment do żartów. I rzeczywiście już za kilka godzin poczuliśmy bezpośrednio przedsmak początku okupacji. Wieczorem wkroczył do naszego domu rosyjski oficer – dowódca oddziału, komunikując, że około 30 osób musi spędzić dwie doby w naszym mieszkaniu; nie było wyjścia: oddaliśmy do użytku kuchnię i jadalnię – na szczęście niebawem wyruszyli dalej, do tak zwanej Linii Curzona, gdzie zaczynała się strefa okupacji niemieckiej. W naszym prywatnym mieszkaniu nikt nas nie ruszał, lecz zarekwirowano nasze trzypokojowe mieszkanie na górze oraz gabinet lekarski Taty i pozostałą część po tej stronie domu. Zamieszkali tu dwaj oficerowie – lotnicy wysokiej rangi z ich rodzinami. Nie byli konfliktowi, a prawosławni rodzice jednego z majorów lotnictwa usiłowali nawiązać kontakt ze świetnie mówiącą po rosyjsku moją Mamą; chcieli, między innymi, dowiedzieć się, jak dotrzeć do cerkwi, oczywiście – w pełnej tajemnicy przed ich synem. Z córką majora, Irmą, w moim wieku, bawiłam się, przez co opanowałam stosunkowo szybko język rosyjski. O godzinie 6.³⁰ rano chodziłam z Irmą po świeże mleko do Babci na Morgi. Niemal codziennie odbywałyśmy też zawody na skakance. Pamiętam, że mama Irmy przynosiła z jakiegoś oficerskiego kantoru całe torby wypełnione zakupami, częstując w powrotnej dro-

dze do domu Irmie i mnie bardzo smacznymi „конфетами” – jak mawiała.

Zapamiętałam jedną kapitalną historię – związaną z Irma. W maju chodziłam do kościoła farnego na godzinę 18, żeby uczestniczyć w procesji, nosząc wstążki od chorągwi. Po całym dniu biegania musiałam umyć się i przebrać w biały procesyjny strój. Irma, obserwując te przygotowania była bardzo zainteresowana, by obejrzeć przy kościele tę procesję. Jej mama nie pozwalała kategorycznie. Zdarzyła się jednak jakaś wizyta rodziców poza domem. Irma pobiegła do kościoła, a ponieważ procesja przeciągnęła się, wracała przerażona przed gniewem jej mamy. Postawiła wtedy Panu Bogu ultimatum: „Если мама до сих пор не вернется, Бог есть; если вернется Бога нет.”. Dodam, że Irma nie zastała jeszcze rodziców w domu. Może zaczęła wierzyć w Pana Boga? Historię tę pamiętam do dnia dzisiejszego.

Na parterze mieszkała jeszcze jedna równolatka – córka chyba również majora – lotnika – Emma. Była antypatyczna. W ciągu paru lat nie zamieniła ze mną jednego słowa. Nie bawiła się na podwórku, wychodziła wyłącznie z jej mamą na spacer, pięknie ubrana. Chyba nie miała kontaktu z Irma – wszak, podobnie jak ona, Rosjanką. Wracam jednak do wątku opowieści o dziejach moich Rodziców z lat wojny...

* * *

Była upalna czerwcowo noc, gdy, chyba przed świtem, zastukano dość głośno do kuchennych drzwi. Była to fala aresztowań polskiej inteligencji i jej wywozów na Syberię. Obudziliśmy się. Usłyszałam skierowane do Taty słowa mojej Mamy: „Chyba przyjechali po nas”. Gdy otworzyliśmy drzwi, stała przed nami kilkunastoletnia kuzynka Wercia – córka brata Taty – Bolesława w towarzystwie czterech sowieckich żołnierzy. Okazało się, że cała rodzina Dziadka na Morgach została o północy zabrana do wywiezienia na Syberię. W sumie 9 osób: ponad siedemdziesięcioletni, chory Dziadek, Babcia Stefania, Stryj

Bolesław z żoną i czworgiem dzieci oraz córka Dziadków – Maria, której udało się przekazać niespełna rocznego syna jej siostrze, pozostawiając go w Polsce pod jej opieką. Najstarsza z córek Bolesława – Wercia – potrafiła jakoś przekonać żołnierzy do zawiadomienia mojego Taty – lekarza o skazaniu na zesłanie ciężko chorego Ojca, wymagającego stałych zabiegów lekarskich, przy pomocy właściwych instrumentów medycznych. Tata nie wierzył, że przetrwa wielodniową podróż na Syberię. Wyrok sowieckiej władzy był nieubłagany. Mój Tata przekazał Siostrze – Marysi – instrumenty lekarskie i instrukcję ich użycia. Nie można było zrobić nic więcej. Rodzice wiedzieli, że w jedną z następnych nocy czeka naszą rodzinę zesłanie na Syberię. Ale wbrew temu przewidywaniu losy potoczyły się inaczej.

2. Okupacja niemiecka (1941 – 1944)

W czerwcu 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Rodzice spodziewali się, że wywożona na Syberię cała rodzina mojego Taty – wobec wybuchu wojny – nie zdołała przekroczyć granicy i że tym samym – powróci do Lidy. Niestety, nie udało się. Tymczasem w Lidzie spodziewano się niemieckich bombardowań. Przygotowano dla przyszłych rannych szpitalne sale w gimnazjum przy ulicy Mickiewicza, tuż za pocztą – wszystkie te najbardziej reprezentatywne budynki znajdowały się w pobliżu naszego domu przy ulicy 11 listopada. W tej sytuacji, gdy Tata musiał przebywać w szpitalu w gimnazjum, Mama podjęła decyzję o udaniu się z Jankiem i ze mną do Babci Pauliny – na ulicę Suwalską. To miejsce uznała za bezpieczne – na peryferiach miasta, w pobliżu łąk i Lidziejki; nikt nie spodziewał się, że Niemcy zaatakują tę stronę miasta.

Był piękny, słoneczny dzień. Ja byłam w sadzie, Janek bawił się na podwórku, Mama, w kuchni prała tak zwane „kolory” – jak wówczas mawiano. W międzyczasie wkroczył na ulicę Suwalską duży oddział wojska rosyjskiego, umieszczając się przy

płatach domów i maskując ten teren przy pomocy dużych, zielonych gałęzi drzew, prosząc też u Babci Pauliny o ugaszenie pragnienia kubkiem wody. I w tym momencie poleciały szyby w kuchennym oknie oraz pojawiły się płomienie ognia rozszerzające się w błyskawicznym tempie. Później opowiadała mi Mama, że w tym czasie wpadł do kuchni Janek – chwyciła go za rękę i wybiegli obydwój. W pobliżu znalazła się Babcia. W płonącym nieopodal domu zaczęła mnie szukać, zapaliły się jej włosy – jakoś zagaszone; mnie jednak nie było. Pożar rozszerzał się – z niemieckich, nisko krążących samolotów wyrzucano bomby zapalające i wylewano smołę, cała część ulicy Suwalskiej płonęła. Mama, Babcia, Janek i – być może – Ciocia Zina musieli uciekać na tak zwany wygon, gdzie nie było zabudowań.

A co działo się ze mną? Znajdując się w sadzie, ogłuszył mnie nagły huk spadającej zapalnej bomby na murowany dom Babci Pauliny, który stanął w płomieniach. Nie było też wyjścia od tylnej furtki, gdyż drewniany dom również płonął. Zostałam zupełnie sama wśród rozszerzającego się ognia. Przedemną zobaczyłam dziurę w płocie, wybiegłam na ulicę i w tłumie uciekających osób znalazłam się na wygonie. Zaczęłam rozglądać się za Mamą, Jankiem i Babcią – nikogo nie było w pobliżu, zaś tłum popychał mnie do przodu. W końcu znalazłam się gdzieś chyba w pobliżu ulicy Szkolnej, po przeciwnej stronie domu Państwa Doktorostwa Kozubowskich. Drzwi tego jakiegoś domu były otwarte. Nie wiedząc, co robię i co mam zrobić ze sobą, weszłam do obcego domu. Mówiono po żydowsku i pakowano poduszki i kołdry, szykując się do ucieczki z płonącego miasta ma wieś. W pewnym momencie, w rozgardiaszu, zauważono mnie, prawdopodobnie córkę znanego w Lidzie lekarza – Witolda Stasiewicza. Miła, kulturalna pani zapytała mnie, już po polsku, czy jestem Stasiewiczówna i skąd się wzięłam w ich domu. Opowiedziałam. Ponieważ rodzina ta miała niebawem opuszczać Lidę, poradzono mi, abym pobiegnęła do domu – na ulicę 11 listopada, gdzie nie ma pożaru i że

zapewne tam czeka na mnie zrozpaczona z powodu mojego zaginięcia Mama. Dostosowałam się do tej rady. Mama była rzeczywiście zrozpaczona, a także mój Tata, którego w międzyczasie zawiadomił na sali operacyjnej jakiś „życzliwy”, że w pożarze na Suwalskiej spłonęła jego córka. Mama wysłała natychmiast wiadomość do szpitala z radosną wieścią, że jestem cała i zdrowa.

Na miejscu domów Babci Pauliny pozostały zgliszcza. Mój kuzyn – Wowa PROKOFIEW – przerzucając popioły, odnalazł w nich Mamy pierścionek, który pod wpływem żaru zmienił kolor z szafirowego na opalowy. Skąd znalazł się w zgliszczach? Gdy Mama prała „kolory”, położyła na parapecie okna zdjęty z palca pierścionek, który – oczywiście – pozostał po ucieczce z płonącego domu. Przetrwał on nie tylko pożar, ale i całą wojenną pożogę. Ukradziony został – wstyd się przyznać – w Polskiej Akademii Nauk. Otrzymałam w prezencie od Mamy odzyskany z popiołu talizman o nietypowym kolorze; złodziej w ciągu kilku sekund ukradł go w toalecie, gdy wyszłam na moment.

Zachował się natomiast do dnia dzisiejszego ulubiony przeze mnie, dzbanuszek z aniołkiem do śmietanki, który bez najmniejszej szkazy przetrwał pożar i zahartował się, nabierając pięknej, niecodziennej barwy. Dzbanuszek ten liczy sobie około 100 lat – dwie wojny światowe i pożar.

* * *

Tuż po wielkim pożarze w Lidzie i po wkroczeniu Niemców, cała rodzina z ulicy Suwalskiej zamieszkała chwilowo w naszym domu przy ulicy 11 Listopada. Wuj Wilhelm – o którym już uprzednio pisałam – ocalał życie mojemu Tacie, którego chciał zastrzelić hitlerowiec, insynuując, że zostawiona, przez rosyjskiego majora-lotnika, w sąsiednim mieszkaniu amunicja należała do mego Ojca. W ostatnim momencie, tuż przed dramatem, wpadł zawiadomiony przez Mamę Wuj Wiluś. Był poliglota, mówił znakomicie po niemiecku, ze wspaniałym akcentem, co zrobiło na Niemcu wrażenie. Po wyjaśnieniu niepo-

rozumienia nawet ponoć przeprosił mego Ojca. Wuj Wiluś – w konsekwencji pożaru – znalazł się w naszym domu i dzięki tej jego obecności ocalił życie mojego Taty. Taki był bieg wydarzeń, nad którym czuwała OPATRZNOŚĆ.

Był to początek działań hitlerowców. We wczesnych godzinach rannych odwiedziła rodziców, zapewne ich znajoma, bardzo piękna, młoda pani. Pamiętam do dnia dzisiejszego, że była kruczoczarną brunetką w żółtej, bananowej sukni – kolor ten okazał się ważny. Rodzice siedzieli w saloniku, a ja razem z nimi – wielce zainteresowana. Piękna pani, bez słowa, uniosła się z fotelika i pokazała upiętą na plecach sukni gwiazdę, również w żółto-bananowym kolorze, niemal zlewającym się z całością ubioru. Znajoma dodała, że będąc naznaczona wyrokiem gwiazdy: „JUDE”, nie może chodzić po chodniku, lecz tylko po jezdni. Prosiła o receptę, ażeby Tata wypisał jakiś lek uspakajający, ułatwiający zachowanie spokoju i godności osobistej. Tata podał receptę, a Mama powiedziała: „Powinna Pani jak najszybciej dostać się na poniemiecki teren”. Ja byłam przerażona i nie rozumiałam całej sytuacji. Po wyjściu gościa rodzice wyjaśnili mi, co to jest antysemityzm i że się zaostrza coraz bardziej prześladowanie Żydów przez hitlerowców. Wystarczyło niecałej godziny, aby odczuć przez kilkuletnie dziecko grozę okupacji hitlerowskiej.

A narastała coraz bardziej. W pobliskich lasach rozstrzelano w pierwszym rządzie niearyjczyków: ŻYDÓW i CYGANÓW. Podczas ostatniego pobytu w Lidzie zawieziono mnie i mojego Męża do pobliskiego lasu, gdzie znajduje się piękny pomnik, ukazujący kobietę i mężczyznę naturalnej wielkości. W tym miejscu, w 1942 roku rozstrzelano dużą grupę Żydów.

Druga opowieść z tamtego okresu, nosi tytuł Wandzia. Nie wiem, skąd wzięła się Wandzia w naszym domu, na ulicy 11 Listopada. Tata przyprowadził kilkunastoletnią dziewczynkę, mówiąc, że jest bardzo odległą krewną, sierotą i że zostanie u nas, pomagając w domu. Nawet Mama wydawała się zasko-

czona, a może tylko udawała... Ja, oczywiście, ucieszyłam się, że będę miała koleżankę. Wandzia, dość drobna i nieduża, była faktycznie starsza niż sądziłam wówczas. A dzisiaj, po latach, jestem prawie pewna, że Wandzia miała pochodzenie niearyjskie. Przebywała w naszym domu do końca II wojny światowej. Dodam, że znikła (już z Białegostoku) tak niespodziewanie, jak się pojawiła. Tata poinformował, że wyjechała na, tak zwane, „ziemie zachodnie”, a nie chciała się żegnać, aby nie rozczulać się po kilku latach wspólnych przeżyć. A może Wandzia nazywała się inaczej? Wszelki ślad po niej zagał.

Z Wandzią łączą mnie wielorakie wspomnienia, lecz jedno – szczególnie. Mama – spokojna i opanowana – zdenerwowała się wówczas, gdy, zapewne za jej zgodą, pojechałam z Wandzią z Tołczkowszczyzny do Lidy furmanką, wioząc nabiał i jaja ze wsi na lidzki rynek. Przebywałam wówczas z Mamą, Bratem – Jankiem i Wandzią w tejże Tołczkowszczyźnie u krewnego – Zygmunta SEHENIA, w odległości kilkunastu kilometrów od Lidy. Wandzia umiała powozić koniem bezbłędnie, a pan SEHEŃ chciał koniecznie dostarczyć jakimś znajomym z Lidy tę przesyłkę żywnościową. Mama, po pewnym wahaniu, zgodziła się, abym towarzyszyła Wandzi. Droga w obydwie strony i przekazanie znajomym kosza w Lidzie okazały się bezawaryjne. W Tołczkowszczyźnie, gdy wróciłyśmy szczęśliwie, Mama, Wandzia i ja dowiedziałyśmy się, że przewiozłyśmy ukrytą broń. I właśnie wtedy doszło do poważnego starcia z panem SEHENIEM, że nie miał prawa, bez zgody rodziców, narazić mnie i Wandzię na śmiertelne niebezpieczeństwo. Po przyjeździe z Lidy, gdy Tata powrócił ze szpitala, został załagodzony spór z gospodarzem domu.

W niezbyt odległym terminie, w pobliżu tego zaścianka, hitlerowcy dokonali haniebnego zabójstwa młodych chłopców z Armii Krajowej – licealistów z Lidy, którzy spali w stodole. W nocy Niemcy zaryglowali drzwi i podpalili budynek. Wszyscy zginęli w ogniu. Była ogólna żałoba i dyskusja nad bezsensow-

nością śmierci najlepszej polskiej, lidzkiej młodzieży. Mama uznała to za dodatkowe uzupełnienie dostarczenia do Lidy broni – faktycznie przez dzieci, w tym kilkuletnią.

Podczas narastającego zagrożenia planowanymi przez hitlerowców egzekucjami polskiej inteligencji w Lidzie postanowili Rodzice, ażebyśmy Mama, Janek i ja wyjechali na ten najniebezpieczniejszy okres do Żemosławia – do brata mego Taty – stryja Waclawa. Był on administratorem przepięknej przedwojennej rezydencji hrabiostwa Umiastowskich, pałacu zdewastowanego podczas okupacji sowieckiej. Zachowały się oficyny i budynki gospodarcze: działały sprawnie gorzelnia i wytwórnia znakomitych serów: tak zwanych holenderskich. A jednocześnie stryj Waclaw, działający w Armii Krajowej, był głównym kwatermistrzem, zaopatrującym podziemie AK na tych terenach. Właśnie w tych warunkach znalazłam się z Mamą i Bratem w Żemosławiu.

Przyjechaliśmy pod wieczór. Mijając wiele zdemolowanych pokojów, doprowadził nas Stryj do miejsca pobytu, gdzieś w narożniku pałacu. Powitały nas jego żona i córka – Ciozia Władzia i Krysia – trochę starsza od Janka. W 5 osób mieliśmy do zamieszkania dwa urządzone pokoje oraz cały – ponoć 50-komnatowy – pałac, przerażająco pusty i zdemolowany. Stryj mieszkał w oficynie, sądzę, że nocą kwitło tam podziemne życie. W oficynach mieszkali pracownicy rezydencji i niemieccy żandarmi, pilnujący obiektu, którzy – korzystając z wyrobów gorzelnianych – byli niejednokrotnie nietrzeźwi, umożliwiając w ten sposób współpracę Stryja z Armią Krajową. Pałacu nikt nie odwiedzał. Jak znosiła moja Mama ten zakonny pobyt w Żemosławiu – nie wiem. Janek i kuzynka Krysia, gdy dni były pogodne, biegali po pokojach, docierając do tarasu znajdującego się nad wodą. Ja natomiast marzyłam o jak najrychlejszym powrocie do Lidy z przerażającego, szczególnie nocami, Żemosławia. Co robiłam podczas tego pobytu? Uczyłam się na pamięć bardzo długiego wiersza „Maraton” Kornela Ujejskiego.

Ponieważ, z różnych przyczyn, opuszczaliśmy zajęcia na tajnych kompletach, zadawano nam do pamięciowego opanowania jakieś teksty – ażeby ćwiczyła się pamięć i utrwały patriotyczne treści. Do dzisiaj mogę wyrecytować z pamięci: „W Suzie na dworze król Dariusz ucztuje, sto cudownych dziewic jemu usługuje, stu niewolników na klęczkach się wije” itd. Mama patrzyła na mnie z wyrozumiałością. Na szczęście opuściliśmy Żemosław.

Kiedy aktualnie działające Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej zorganizowało przybyłym z Polski przed kilkoma laty odwiedzenie Żemosławia, nie chciałam zdecydowanie zajrzeć raz jeszcze w te strony. Nigdy nie rozmawiałam z Mamą na ten temat, właściwie nie wiem - dlaczego?

* * *

Po powrocie do Lidy z Żemosławia dowiedzieliśmy się, że Niemcy zarekwirowali nasz dom na ulicy 11 Listopada. Wyznaczono dość krótki termin do znalezienia zastępczego mieszkania. Z wielkim trudem znalazł Tata niewielki, drewniany dom przy ulicy Kościuszki – nieopodal budynku straży pożarnej i w pobliżu ulicy Suwalskiej, która spalona w pożarze już nie istniała. Wzmiankowany dom, należący do niejakiego pana Mamczyca, znajdował się w ogródku i na zewnątrz wyglądał nie najgorzej, lecz wewnątrz był potwornie zainfekowany. Wytruwanie tego paskudztwa, m.in. przy pomocy palenia siarki, trwało kilka dni. Później całe wnętrze mieszkania odmalowano. Dom był gotów do zamieszkania. Nasze meble z ulicy 11 Listopada nie zmieściłyby się w tym niewielkim wnętrzu. Mama, która urządziła przed wojną jej wymarzony dom, musiała co najmniej połowę z nich oddać gdzieś do znajomych – na przechowanie: komu i gdzie? Wybór mebli okazał się jednak dość łatwy: Mama zdecydowała, że zabierze do domu Mamczyca – jak mówiliśmy – to tylko, co niezbędne: szafkę z narzędziami lekarskimi, stanowiącą podstawę naszego ówczesnego życia; łóżka do spania; szafę na ubrania; stół do jedzenia i pisania, krzesła. Nic

więcej nie mogło się zmieścić. Ukochanego psa Rexa już nie było po jego wojennych przygodach.

Powraca w mej pamięci dramatyczna opowieść o zastrzele- niu przez niemieckiego konfidenta młodego członka Armii Kra- jowej, który – uciekając przed hitlerowcami – biegł przez ogród, należący do zamieszkanego przez nas domu Mamczyca. Tuż przed otwartą furtką ogrodu AK-owiec wyrzucił w krzaki re- wolwer, stanowiący „corpus delicti” narzędzia walki. W ten spo- sób ocaliłby życie, gdyby nie niespodziewany strzał z rąk kon- fidenta. Strzał ten okazał się śmiertelny. Cała akcja rozegrała się błyskawicznie.

Mama była przerażona, wiedząc, że ona, Janek i ja mogliby- śmy być rozstrzelani przez hitlerowców jako świadkowie wy- darzenia w ogrodzie naszego domu. Decyzja Mamy była bły- skawiczna: przeszliśmy natychmiast do kuchni, skąd nie wi- działo się ogrodu, znajdującego się po przeciwległej stronie domu. Mama zaczęła obierać kartofle, a mnie kazała prać ja- kieś skarpetki. Na szczęście Niemcy nie weszli do naszego mieszkania. Po ochłonięciu zdenerwowania Mamy, powiedzia- łem jej, wręcz zaskoczonej, że znałam AK-owca, który zginął. Opowiedziałam, że w czasie pobytu w Jodkach – u Cioci Stasi – siostry Taty, którą czasem odwiedzałam (Jodki znajdują się o kilka kilometrów za Lidą), zostałam zaproszona na przejażdż- kę łodzią z kuzynką i tymże AK-owcem. Płynąc po Lidziejce lub Dzitwie, ofiarował on kuzynce bukiet żółtych lilii wodnych, a mnie jedną lilię białą, mówiąc, że jest to dar od rusalki – na szczęście. Po wysłuchaniu tej opowieści Mama, coraz bardziej zaniepokojona, wytłumaczyła mi, jakie niebezpieczeństwo mogłoby grozić kuzynce i rodzinie w Jodkach, gdyby hitlerow- cy posadzili ich o współpracę z Armią Krajową na tamtym tere- nie. Reasumując: kategorię życzeniem Mamy było wy- eliminowanie z mojej pamięci historii o spotkaniu w Jodkach. Potrafiłam utrzymać tajemnicę przez około półwiecze. A teraz przy okazji chcę dodać kilka słów o sobie samej. Przed trzema

lub czterema laty uczestniczyłam w naukowej sesji wyjazdowej Polskiej Akademii Nauk na Polesiu Pińskim. Jadąc autokarem wzdłuż Kanału Ogińskiego otrzymałam w prezencie – po raz drugi w życiu – białą lilię wodną, zerwaną na wodach tegoż Kanału Ogińskiego, znajdującego się wszak przed II wojną światową na kresach II Rzeczypospolitej. Bieg wydarzeń wydaje się czasem zaskakujący. Biała, kresowa lilia wodna w zaraniu dzieciństwa, utrwalona w wieloletniej pamięci oraz – ponownie – biała, kresowa lilia wodna po moim przekroczeniu granicy cienia.

3. Znowu okupacja sowiecka (1944 -1945)

Po odwróceniu Niemców ze Związku Radzieckiego wkroczyli w 1944 roku do Lidy ponownie Rosjanie. Zaczął się po raz drugi okres okupacji sowieckiej. Dla Mamy – podobnie jak i dla całej polskiej inteligencji – był to czas szczególnie trudny. Nie było mowy o powrocie do naszego domu przy ulicy 11 Listopada. Znaleźliśmy bardzo skromne, dwupokojowe, lecz na szczęście czyste, mieszkanie przy ulicy Krupowskiej, tuż przy przejeździe kolejowym, w odległości kilku kilometrów od Krupowa. Nasza czteroosobowa rodzina mieszkała w jednym pokoju, w drugim pokoju mieścił się pseudo-gabinet lekarski, co pozwalało nam zapewnić środki na życie. Później zaczął Tata pracować w szpitalu zakaźnym, lecz – niestety – nie za długo, gdyż niebawem został aresztowany i osadzony w więzieniu w Lidzie. Warunki były ciężkie, kilkuosobowa, zawszona cela i ciągle przesłuchania. Mama – poza systematycznym dostarczaniem do więzienia paczek żywnościowych i odzieżowych – podjęła próby wydobycia z więzienia Taty. Dużą życzliwość i konkretną pomoc okazały Rosjanki – pielęgniarki ze szpitala zakaźnego, z którymi Tata współpracował. Wspólny plan działania mojej Mamy i tych pielęgniarek był następujący, lecz nie najłatwiejszy do realizacji.

Podczas okupacji niemieckiej, gdy mieszkaliśmy jeszcze przez pewien czas w naszym domu, na ulicy 11 Listopada, rodzice udzielali schronienia – z reguły na jedną noc – tym, którym groziła śmierć, i którzy musieli natychmiast wydostać się z Ziemi Lidzkiej. Byli to najczęściej AK-owcy, ale znalazł się u nas niegdyś jakiś Rosjanin – dowódca „z lasu”, który okazał się, po dostaniu do Związku Radzieckiego, znanym dygnitarzem. Mama napisała do niego list z wielką prośbą o pomoc uwięzionemu Tacie, któremu w każdej chwili groziła śmierć. Jedną z Rosjanek – pielęgniarek, zgodziła się udać do Mińska (czy do Moskwy – nie wiem), aby dotrzeć do owego dygnitarza i przekazać list mojej Mamy, uzupełniając komentarzem. Plan udał się w pełni. Dzięki natychmiastowej interwencji tej wybitnej osobistości ze Związku Radzieckiego, Tata znalazł się niebawem na wolności. Wdzięczny Rosjanin (nie wiem, kim on był), za ocalenie jego życia w dramatycznej sytuacji, odwzajemnił się uratowaniem przed śmiercią mojego Ojca. Dług został spłacony. Determinacja i mądre działanie mojej Mamy wpłynęły znacząco na wydobycie Taty z sowieckiego więzienia., z którego z reguły nie wracano na wolność. Mama zaprzyjaźniła się z rosyjskimi pielęgniarkami, które okazały wiele życzliwości i pomocy całej naszej rodzinie – również w nieodległej przyszłości. Do tego fragmentu opowieści powróć niebawem.

* * *

Mama musiała spalić przyniesione z więzienia ubranie i bieleź Taty – było tak zainfekowane, że zanieczyściłoby całe mieszkanie. Po dwóch dniach odpoczynku, zaaklimatyzowania się na wolności, Ojciec powrócił do pracy w szpitalu zakaźnym, gdzie przywitano go z wielką radością. Niestety, nie na długo. Po kilku tygodniach jedna z zaprzyjaźnionych rosyjskich pielęgniarek poinformowała w wielkiej tajemnicy moich rodziców, że znaleźli się na liście osób NKWD, skazanych na zesłanie na Syberię. Jedynym ratunkiem może być natychmiastowa

repatriacja do Polski – w marcu 1945 roku miał wyruszyć z Lidy pierwszy transport repatriantów na ziemie polskie. Czasu było niewiele: należało uzyskać zgodę na wyjazd ze Związku Radzieckiego, dokumentację repatriacyjną i zapakować rzeczy, zostawiając w Lidzie niemal cały dorobek naszego życia. Ale cóż znaczyło to wszystko wobec zesłania na Syberię?

Przy boskiej i ludzkiej pomocy udało się nam zdobyć w błyskawicznym tempie repatriacyjną dokumentację i połowę towarowego wagonu na zapakowanie rzeczy. Drugą połowę wagonu otrzymał lekarz weterynarii z rodziną, który udawał się do Lubartowa na Lubelszczyźnie, gdzie mieszkali jego krewni zapewniający mu przyszłą pracę i mieszkanie. Proponowano nam osiedlenie się i pracę lekarza w tym samym mieście; były to piękne plany, lecz moi Rodzice myśleli tylko o przekroczeniu granicy Związku Radzieckiego.

* * *

W tym czasie, gdy szykowaliśmy się do wyjazdu do Polski, nastąpiło w Lidzie dość głośnie, dramatyczne wydarzenie – związane z panią Wandą Bojarczykówną, siostrą przyjaciółki mojej Mamy – Zofii Bojarczykówny-Czyżewskiej, z którą podczas studiów na USB w Wilnie mieszkała we wspólnym pokoju na Antokolu. Nie wiem, co działo się z zaprzyjaźnioną z Mamą lekarką panią Zofią, lecz pani Wanda Bojarczykówną mieszkała, po śmierci rodziców, z małym dzieckiem, w pięknym, rodzinnym domu przy ulicy 3 Maja. Oficerowie radzieccy zarekwirowali, oczywiście, znaczną część domu, pozostawiając – jak mówiono – „хозяйку”. Gdy któryś z oficerów otrzymał odznaczenie, prosił panią Wandę o upieczenie paru kurczaków, ażeby uczcić ten fakt uroczystą kolacją. „Хозяйка” nie mogła naturalnie odmówić tej przysługi, tym bardziej, że nie usunęli jej – jak to się działo najczęściej – z rodzinnego, własnego domu. Została zaproszona na kolację. Oficerowie – po wypiciu większej dawki alkoholu – postanowili zabawić się strzelaniem do

kurczaka. Zabawa okazała się tragiczna w skutkach: pierwsza kula trafiła w siedzącego najbliżej majora i taż sama kula ugodziła panią Wandę. Koledzy powieźli natychmiast rannego do szpitala i uratowali go; panią Bojarczykówną pozostawiono samą, bez żadnej opieki. Wydostała się jakoś z domu na pustą o północy ulicę. Krwawiąc i omdlewając dotarła do szpitala, lecz na ratunek było już za późno. Zmarła. Mieszkańcy Lidy byli wstrząśnięci tym wydarzeniem – tragicznym i nieludzkim.

* * *

Wyjazd do Polski zbliżał się coraz bardziej. Pociąg repatriacyjny miał wyjechać z Lidy w Wielkim Tygodniu – tuż przed Wielkanocą, która w tamtym roku wypadła dość wcześnie. Rodzice prosili, ażeby Babcia Paulina i krewni nie żegnali nas na dworcu – pożegnania byłyby zbyt trudne. I tak na przykład Wuj Wiluś podjął ostateczną decyzję, że nie opuści Lidy do końca życia, ciocia Zina z synem i synową mieli jechać do Polski jednym z najbliższych transportów, Babcia Paulina była niezdecydowana. Szczerze mówiąc nie pamiętam, gdzie mieszkała po pożarze na ulicy Suwalskiej. Moi Rodzice byli jeszcze młodzi i pełni energii; uważali, że samo życie rozwiązuje najtrudniejsze nawet problemy. Gdy pociąg wyruszył z Lidy, była już najwyższa pora, aby zdecydować, dokąd mamy jechać: do Lubartowa – jak namawiał lekarz weterynarii – czy do Krakowa, gdzie rzekomo czekało na nas mieszkanie. Przebywał tam już od kilku miesięcy Stryj Waclaw – brat Taty, który wydostał się z Żemostawia i wraz z żoną – rodowitą krakowianką i córką dotarł do Krakowa pod zmienionym nazwiskiem ze względu na działalność w Armii Krajowej na Kresach. Ponoć – ale tylko ponoć – czekało na nas krakowskie mieszkanie. Czy oby na pewno?

W Białymstoku, po przekroczeniu granicy sowieckiej rozstrzygnął nasze wahania sam los. Z pociągu, który miał jechać nadal, odłączono nasz wagon i odsunięto go gdzieś na końcową część stacji. Na domiar złego podał typowy, marcowy śnieg z

deszczem, a drzwi były otwarte na oścież, bez możliwości ich zamknięcia. Co postanowiono z kilku innymi wagonami repatriacyjnymi z Lidy – nie wiem. Tata zdobył jakieś płachty brezentu, osłaniając rzeczy i postanowił wyruszyć do miasta, gdzie mieszkali i pracowali koledzy – lekarze – absolwenci wileńskiego Uniwersytetu Stefana Batorego. Po spotkaniu pomoc nadeszła błyskawicznie. Nasze rzeczy przewieziono do jakiegoś garażu, a nas z dwiema walizkami do pokoju w sierocińcu w centrum Białegostoku – przy ulicy Elizy Orzeszkowej. W pokoju znajdowały się cztery łóżka i umywalka z bieżącą wodą. W dzień Wielkanocy podzieliliśmy się poświęconym w białostockim kościele jajkiem i spożyliśmy świąteczne śniadanie na walizkach – przykrytych białym obrusem. Mama zakupiła nawet w cukierni prawdziwą, świąteczną babkę. Wandzia, która przyjechała z nami z Lidy i przebywała u nas przez krótki okres czasu, spała – pamiętam – na jakimś korytarzu, na składanym łóżku.

Co było dalej? Koledzy mojego Taty namówili go do pozostania w Białymstoku – brakowało lekarzy, obiecywano szybką pomoc w znalezieniu mieszkania. A ponadto były to Kresy, a nie odległy Kraków czy Lubartów z dużą ilością znaków zapytania. Tata podjął decyzję – pozostał w Białymstoku. Jak okazało się niebawem – już na całe życie. A pracę lekarza podjął natychmiast.

A jak potoczyły się losy Mamy? Pracowicie, żyjąc do roku 1989. To jest od wyjazdu z Lidy aż 44 lata. Była to piękna liczba lat oraz piękne i godne życie. Epilog jednak będzie zwięzły i zwarty w czasie. Wszak wspomnienia Lidzianki zamieściłam tylko w Lidzie i w czasach z nią związanych. Do swego rodzinnego miasta i do swoich, tamtych Kresów moja Mama nie wróciła już nigdy. Czy mogła czuć się niekiedy wyobcowana we własnej ojczyźnie, gdyż wyrosła na korzeniach znad Lidziejki, Dzitwy i Niemna? Nie wiem, a o wspomnieniach białostocko-warszawskich nie będę już pisać. Tamta epoka – rozległa w czasie i w jej przeżyciach została już ostatecznie zamknięta.

EPILOG



Po zamieszkaniu w Białymstoku Mama postanowiła zacząć niezwłocznie pracować, najchętniej w swoim zawodzie: jako nauczycielka botaniki w szkole średniej. Okazało się jednak, że wszystkie etaty w tej dziedzinie były zajęte. Zaproponowano natomiast Mamie pracę w stacji sanitarno-epidemiologicznej po ukończeniu dwumiesięcznego kursu w Warszawie. Mama zdecydowała się na wyjazd z Białegostoku, aczkolwiek trudności istniały: opieka nad nami, to jest Jankiem i mną – wszak Tata był zajęty od rana do wieczora. Dodam, że Wandzia wyjechała już ponoć na tak zwane ziemie odzyskane. Jakoś znalazła się pomoc domowa, a Mama po odbyciu szkolenia przepracowała w san-epidzie parę lat.

Później, gdy zaczęła organizować się w Białymstoku Akademia Medyczna pod berłem prof. dra med. Tadeusza Kielańskiego, nowo mianowany rektor musiał stworzyć administracyjną komórkę. Zaprosił do współpracy moją Mamę. Stała się w ten sposób pierwszym pracownikiem białostockiej uczelni medycznej. Zapomniano o tym, a przecież godzi się odślonić tę białą plamę, zapelniając ją nazwiskiem Marii Stasiewiczowej, skromnego pracownika z 1949 roku.

Po powstaniu Akademii Medycznej w Białymstoku zaistniała konieczność utworzenia biblioteki o profilu medyczno-przyrodniczym – Mama została jej organizatorką i w pierwszym okresie dyrektorem; niebawem przyjęto na jej miejsce lekarza – dr med. Bertę Szajkowską. Jako kustosz biblioteki Mama pozostała w tej instytucji aż do przejścia na emeryturę – w roku 1972. W Akademii Medycznej spędziła niemal ćwierćwiecze, żegnając się z żalem. Chciała pracować nadal, w bibliotece czuła się i była faktycznie potrzebna. Z wybiciem zegara przepisowego wieku emerytalnego 70 lat musiała odejść.

W Białymstoku odświeżyła Mama kontakty ze znajomymi z uniwersytetu Stefana Batorego: prof. dr Witold Sławiński wykładał na Białostockiej Akademii Medycznej botanikę. Z tejsze

wileńskiej almae matris spotkała się Mama z koleżanką – panią mgr Janiną Gątkiewiczową, wykładającą botanikę w liceum.

Babcię Paulinę, która zdecydowała się opuścić Lidę i zamieszkać u Rodziców w Białymstoku odwiedzał parokrotnie jej lidzki „połowicznik” – pan Bieńko. Dodam, że powróciła z Syberii Babcia Stefania – mama Taty; mieszkała również u nas, w domu Rodziców.

Jaka utrwaliła się Mama w mojej pamięci? Była rzetelna, niezwykle odpowiedzialna, ambitna, z dużym poczuciem godności – również w stosunku do rodziny; bardzo wrażliwa; nawiązująca bezpośredni kontakt, a jednocześnie bez cienia poufałości, wkraczania do jej własnego życia. Biorąc pod uwagę liczne walory mojej Mamy, jej inteligencję i wybitne naukowe zdolności, czego dowodem są zachowane świadectwa i dyplomy – sądzę, że była ona niedoceniana – zbyt skromna i niezależna.

* * *

Mama odeszła 26 grudnia 1989 roku, w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia. Spoczywa na cmentarzu katolickim w Białymstoku obok grobów jej Męża – Witolda Stasiewicza i jej Mamy – Pauliny Stasiewiczowej – przy najbliższych jej osobach. A Białystok jest też kresowy, niezbyt odległy od Lidy.



Spis ilustracji:

- s. 7. Rzeka Niemen, foto A. Kołyszko
- s. 9. Lida, kościół farny, foto A. Kołyszko
- s. 11. Świadcstwo urodzenia Marii Stasiewicz z ksiąg parafialnych kościoła Podwyższenia Św. Krzyża w Lidzie, Diecezja Wileńska, archiwum domowe autorki
- s. 14. Świadcstwo ukończenia klas czwartej, piątej, szóstej i siódmej новомосковской женской гимназии wydane w związku z powrotem do Lidy, listopad 1919 rok, archiwum domowe autorki
- s. 15. Dom rodzinny w Lidzie przy ulicy 11 Listopada 4, foto A. Kołyszko
- s. 16. Świadcstwo dojrzałości Marii Stasiewiczówny. Gimnazjum Państwowe im. Karola Chodkiewicza w Lidzie, 15 czerwca 1924 roku, archiwum domowe autorki
- s.18. Dyplom magistra filozofii z zakresu botaniki Marii ze Stasiewiczów Stasiewiczowej na Uniwersytecie Stefana Bato­rego w Wilnie, 15 grudnia 1930 roku, archiwum domowe autorki
- s. 20. Świadcstwo ślubu Marii Stasiewiczówny i Witolda Stasiewicza w kościele parafialnym Podwyższenia Św. Krzyża w Lidzie, Archidiecezja Wileńska, ślubu dokonał 12 lutego 1929 roku ksiądz Hipolit Bojaruniec, archiwum domowe autorki.
- s. 30. Kościół oo. Pijarów w Lidzie, stan obecny, foto A. Kołyszko
- s. 31. Leśny krzyż, foto A. Kołyszko
- s. 45. Lidzkie sosny, foto z archiwum redakcji „Ziemi Lidzkiej”

Wkładka:

s. I.

fot. 1 Gimnazjum Państwowe im. Karola Chodkiewicza w Lidzie, foto z archiwum redakcji „Ziemi Lidzkiej”

fot. 2. Wycieczka botaników Uniwersytetu Stefana Batorego, 1928 rok. Maria Stasiewiczówna druga z lewej, archiwum domowe autorki.

s.II.

fot. 3. Maria Stasiewiczówna (siedzi, druga od lewej) z koleżankami, po ukończeniu klasy VI w żeńskim gimnazjum w Nowomoskowsku, w rejonie Odessy. Przed powrotem do Polski, 1918 rok. Archiwum domowe autorki.

fot. 4. Wilno 1929 rok. Studentki Uniwersytetu Stefana Batorego – Maria Stasiewiczówna (druga z lewej) i Janina Gątkiewiczowa. Archiwum domowe autorki.

s. III.

fot. 5. Fotografia ślubna Marii i Witolda Stasiewiczów. Lida, 12 lutego 1929 roku. Archiwum domowe autorki.

fot. 6. Maria i Witold Stasiewiczowie z córką Irenką. Archiwum domowe autorki.

s. IV.

fot. 7. Nad Niemnem w Druskiennikach, 1935 rok. Od lewej: Maria Stasiewiczowa, córka – Irenka, Zuzanna Prokofiewowa, zwana ciocią Ziną. Archiwum domowe autorki.

s. 8. Poczta w Lidzie, stan obecny, foto A. Kołyszko





fot. 1 Gimnazjum Państwowe im. Karola Chodkiewicza w Lidzie, foto z archiwum redakcji „Ziemi Lidzkiej”



fot. 2. Wycieczka botaników Uniwersytetu Stefana Batorego, 1928 rok. Maria Stasiewiczówna druga z lewej, archiwum domowe Ireny Stasiewicz-Jasiukowej.



fot. 3. Maria Stasiewiczówna (siedzi, druga od lewej) z koleżankami, po ukończeniu klasy VI w żeńskim gimnazjum w Nowomoskowsku, w rejonie Odessy. Przed powrotem do Polski, 1918 rok. Archiwum domowe Ireny Stasiewicz-Jasiukowej.



fot. 4. Wilno 1929 rok. Studentki Uniwersytetu Stefana Batoro – Maria Stasiewiczówna (druga z lewej) i Janina Gątkiewiczowa. Archiwum domowe Ireny Stasiewicz-Jasiukowej.



fot. 5. Fotografia ślubna Marii i Witolda Stasiewiczów. Lida, 12 lutego 1929 roku. Archiwum domowe Ireny Stasiewicz-Jasiukowej.



fot. 6. Maria i Witold Stasiewiczowie z córką Irenką. Archiwum domowe Ireny Stasiewicz-Jasiukowej.



fot. 7. Nad Niemnem w Druskiennikach, 1935 rok. Od lewej: Maria Stasiewiczowa, córka – Irenka, Zuzanna Prokofiewowa, zwana ciocią Ziną. Archiwum domowe Ireny Stasiewicz-Jasiukowej.



fot. . 8. Poczta w Lidzie, stan obecny, foto A. Kolyszko

pawet.net